Tom II. **Nr. 13.**

1. Maja **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KŁOSY.

Kiedy dawnemi czasy, ale tak dawnemi, że ludzka pamięć nie może zasięgnąć, wszystkie źdźbła, tak pszeniczne jak żytne i jęczmienne, miały dużo kłosów, napełnionych ziarnem od dołu do góry; nie tak jak dzisiaj, co słoma długa, a kłosek na samym końcu i często pusty. Za owych błogosławionych czasów ludzie nie znali głodu, i wtedy to był prawdziwie wiek złoty. Jaki taki, choć i nie pracował wiele, mógł się był łatwo wyżywić, a nawet i ptaszkowie łakomi na zbożowe ziarnka, najadali się do syta, toż i kury, gęsi i wszelaki drób tuczył się na hojnym chlebie.

Lecz znaleźli się między ludźmi tacy, którzy nie umieli szanować darów Boskich, bo zboże, wiedzieć wam potrzeba, jest z Bożej łaski, a przeto nie należy go marnotrawić ani psować. Otóż, jak powiadam, ludzie nie szanowali zboża, bo go mieli dostatkiem: dziewki robiły z kłosów miotły i zamiatały niemi izby; chłopcy i dziewczęta uganiały się po łanach i deptały kłosy, albo też z pustej swawoli wyrywały takowe, ciskając na

drogę. To się nie podobało Panu Bogu, który zboże dał był na pożywienie ludowi, a na paszę bydłu, nie zaś na swawolną psotę; więc też pomyślał sobie: teraz będzie inaczej, złoty wiek musi się skończyć.

I zaraz Pan Bóg tak zrobił, że odtąd każde źdźbło słomy rodziło tylko po jednym kłosku, już to dla ludzi, aby nauczyli się lepiej szanować darów Bożych, już dla niewinnych źwierząt, aby miały swoje pożywienie natenczas, kiedy ludzie nie warci byli nawet jednego kłoska.

Od tego dopustu Bożego głód, drożyzna i ubóstwo przyszły na ziemię. Jeno kiedy niekiedy pozwala pan Bóg, aby tu i owdzie wyrosło cudowne źdźbło z kilkoma kłosami, pokazując przez to człowiekowi, jakie dawniej było zboże i jaka jest Boska potęga. Chodzi też stara przepowiednia między ludźmi, że po upływie wielu lat, kiedy się spełnią te słowa Anioła: *Cześć Panu na wysokości, pokój na ziemi, a między ludźmi miłość, błogosławieństwo i zgoda!* — wtedy Pan Bóg znowu ma ziemię wzbudzić, aby zboże wydawała pokryte kłosem od góry do dołu. Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy! kto tego złotego wieku doczeka!

Majowa pieśń do Matki Boskiej.

Panienko przenajświętsza, jedyna!
Piastujesz-ci Niebieskiego Syna,
Piastujesz;
A przeczyści Aniołowie stoją,
I w zielony-ć wieniec główkę stroją,
Hej stroją.
Spuść-że radość na ludzi,
Kiedy wszystko się budzi
Do prześlicznej urody —
Niech serdeczną nadzieją
Oczy się nam rozśmieją —
Oschną mokre jagody
Zasmuconym,
Utrapionym,
Zmęczonym.

Panienko, przenajświętsza Królowo!
Wiszą-ć jasne gwiazdy ponad głową,
Hej wiszą;
A na białym miesiącu przejrzystym,
Kołyszą się stopki w blasku czystym,
Kołyszą.
Zgniotłaś czysta panienko,
Węża stopką maleńką,
Do pół starłaś mu głowę —
Ale druga połowa
Jeszcze w świecie się chowa...
Zetrzyj drugą połowę
Nieczystego,
Piekelnego
Złego.

Grześ z Mogiły.

ŁASKAWY CHLÉB.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

I tak i owak wykręca się człowiek przed własnem sumieniem, kiedy coś zrobi nie tak jakby należało. Ale niechnoby tylko lepiej i głębiej rozpatrzył się w sobie i w Bożym świecie, a snadnieby się przekonał, że byle moc nad sobą, a wola silna i poczciwa, toć nigdy nie przyjdzie człekowi trudniej zrobić dobre niż złe.

Nieszczęście tylko, że do złego ciągnie zawsze to jakaś pokusa ponętna, to jakiś interes samolubny, a za dobrem przemawia najczęściej tylko głos sumienia ta i pamięć przykazania Bożego.

Doświadczył ci tego najlepiej stary Wasyl Tandara z Ubyłowic, co dwa razy był wójtem w gromadzie i kilka lat gumiennym u dziedzica, a gruntem i mieniem sprostał największym bogaczom na całą wieś.

Uczciwie i pracowicie przeżył długie lata i Bóg szczodrą ręką błogosławił mu we wszystkiem. Najstarszy syn pracował przy nim na gruncie i sprowadził do domu synowę; dwie córki poślubiły zamożnych synów gospodarskich i opływały w dostatki.

Pewnego też razu stary Wasyl Tandara po ciężkiej pracy zadumał się srodze i rzekł sam do siebie.

— Mocny Boże! po co ja się też tak trudzę i mozolę; siódmy krzyżyk dochodzi, siły opadają, człek się chyli do ziemi, a tu jest dzięki Bogu i wypocząć przyczem i pracować komu na gruncie. Czasby już pozwolić sobie spoczynku, ta oddać się całkowicie służbie i chwale Bożej.

Więc jak zaczął sobie tak przemyśliwać i dogadywać, to nie mówiąc nic nikomu, zaraz nazajutrz posłał po pisarza i urząd gromadzki, sprowadził swych zięciów, syna i synowę, wreszcie też przywołał krewnych, sąsiadów i znajomych, i tak do nich przemówił:

— Starość nie radość, moi mili! Człek choćby chciał sam siebie oszukać, to widzi już, że nie domaga i już tam rękom nie do ciężkiej pracy, a siłom nie do wielkich niewczasów. Darmo się opierać, trzeba ustąpić miejsce młodszym a rzeźwiejszym. Przy Boskiej pomocy uzbierało się uczciwie i godziwie trochę darów Bożych; chcę też to rozdać między dzieci, niech zabiera wszystko, a mnie tylko do śmierci dadzą chleb łaskawy.

I jak powiedział tak też i zrobił zaraz.

Nie zważał na żadne rady i przedstawienia: grunt, chałupę i całe gospodarstwo zapisał synowi, córkom porozdawał resztę wiana i dobrowolnie ogołociwszy się ze wszystkiego, zamyślał sobie resztę życia przesiedzieć spokojnie na łaskawym chlebie wyposażonych hojnie dzieci.

I pierwszych kilka tygodni a nawet parę miesięcy przeszło staremu tak jakoś szczęśliwie, że ani się opamiętał, że już nie jest sam sobie gospodarzem, ale osiadłym u dzieci na łaskawym chlebie. Przemieszkiwał kolejno to u jednej to u drugiej córki, to wreszcie u syna i tak miało iść aż do śmierci.

Aliści niestety! nie tak to najczęściej idzie na świecie jakby należało i jak Bóg przykazuje. Nagle ni ztąd ni z owąd staremu Wasylowi zaczęło się powodzić inaczej.

Dzieci przywykły powoli do gospodarstwa na własną niezależną rękę i coraz wydawało im się to mniej osobliwem, że stary ojciec nie kazał im czekać na śmierć swoją, ale za życia jeszcze wszystko oddał w ręce.

I jakoś od chwili do chwili przychodziło to uczuć staremu, że już nie jest gospodarzem i panem w domu, jeno komornikiem.

I byłoby to jeszcze pół biedy, aleć dowiedziona na świecie prawda: że złe nigdy nie przychodzi samo, zawsze jakoś drugie i trzecie wlecze za sobą.

Obie córki miały stare świekry, a dobrze mówią, że przed złą świekrą, to sam djabeł kopyta pogubi a da drapaka, że się aż zakurzy.

Powoli zaczęły sobie świekrochy rozpuszczać języki i nuż coraz gęściej ćwirkać staremu w oczy to tem to owem, nuż przycinać i tak i owak. I codzień jakoś markotniej było staremu i ciężki smutek zaczął mu jak czerw toczyć serce.

Nie chodziło starowinie że coraz większe musiał znosić niewygody, daleko ciężej trapiła i frasowała go niewdzięczność ludzka i stokroć jeszcze okrutniejsza od tej, niewdzięczność własnych dzieci. Bo chociaż mimo to wszystko syn i córka okazywali mu zawsze jeszcze cześć i przywiązanie, poznać było snadnie, że kapka po kapce zaczęli sobie także folgować coraz więcej.

Wszystko to grozkim smutkiem przepełniało serce starowiny, a jak na toż i z innej strony cierpkie spadały na niego utrapienia.

Zaczął się przekonywać powoli, że odkąd gospodarstwo wypuścił z rąk, niema też już takieko jak dawniej zachowania w gromadzie. Chociaż niegdyś dwa razy wójtował we wsi, toć już nie wołano go ani do sądzenia spraw, ani też pytano go o radę w interesach gromadzkich.

Ba nawet kiedy w ostatnią niedzielę przyszedł do karczmy na wybór przysiężnego, to stary Paweł Ciurak, co z dawna miały jakąś złość na niego, zawołał mu w żywe oczy:

— A ciebie tu po co, tu tylko miejsce dla samych gospodarzy, a ty komornik u twego syna.

Strasznie markotno zrobiło się staremu Wasylowi i aż łzy mu się zakręciły w oczach.

Nie rzekłszy ani słowa wyniósł się z karczmy i chwilkę

podumał na drodze, a potem westchnął ciężko, taj skręcił jakoś no ścieżkę co prowadziła do dworu.

Starowina radby się przed kimś poskarzyć, kogoś się poradzić, a któż lepszy do tego jak nie dobry pan, co mieszkał we dworze.

Jużto w prawdzie nie było wtedy od kilku miesięcy pańszczyzny, ale Wasyl wiedział, że mimo to pan zawsze ojcem i opiekunem gromady, i że nikt lepiej i szczerzej nie poradzi od niego.

Dziedzic Ubyłowic byłto zresztą jeden z tych prawdziwych polskich panów, co w chłopach swych nie widział poddanych, ale dzieci przywiązanych.

Do niego więc udał się Wasyl Tandara w swem ciężkiem utrapieniu. Aż rozbeczał się stary kiedy pokłonił się do nóg dobrego pana i jął mu opowiadać swoją niedolę, jak chciał sobie wypocząć po trudach na starość, a tymczasem ściągnął na siebie tylko smutki i zgryzoty.

— I nie tyleć tu chodzi o mnie, jaśnie wielmożny panie — dodał — obawiam się jeno, aby dzieci moje nie posunęły się dalej w niewdzięczności, a wtedy musiałaby na nich spaść kara sprawiedliwego Boga, a toćby mi było okrutnie ciężko na sercu, gdyby z mojej przyczyny zrodził się gniew Boży.

Pan wysłuchał do końca starego Wasyla i głęboko się jakoś zamyślił.

Naraz podniósł głowę, uśmiechnął się wesoło i poklepawszy po ramieniu starego, rzekł pocieszającym głosem:

— At nie frasuj się stary! taka to już nieszczęśliwa natura ludzka, że często potrzeba koniecznie jakiegoś sposobu, aby ją nawieść na dobrą drogę. Pójdź-no do mojej kancelaryi, napijesz się kieliszeczek dobrej wódki, pogadamy z sobą mądre słowo o starych czasach, i jakoś ja już tam zaradzę twojej biedzie.

Wasyl Tandara znowu pokłonił się do stóp łaskawego pana i poszedł za nim gdzie mu kazał.

I długo snać bajał i gwarzył z dobrym dziedzicem, bo po dobrej dopiero godzinie wracał do domu, a wracał jakby o dziesięć lat odmłodniał, taki wesół, rzeźwy i pocieszony. Uśmiechnął się sam do siebie, a kiedy zbliżał się do wsi, zawołał półgłosem:

— Bodaj to dobry pan! to prawdziwy ojciec gromady, któżby tak mądrze poradził i tak łaskawie pocieszył w niedoli!

A jak tylko przyszedł do domu, zwołał zaraz pod wieczór syna i obudwu zięciów z córkami i świekrami, wreszcie zwołał sąsiadów ta i wójta, przysiężnych i dwóch z gromady.

Jak się wszyscy zeszli w chacie, stary na kwitek pański posłał po dwie kwarty wódki do karczmy, a potem siadł między nimi i ozwał się w ten sposób:

— Wiecie żem całe życie nie lenił się nigdy do pracy i Bóg mi błogosławił łaskawie. Dorobił się też człek i gospodarstwa uczciwego, i wreszcie nie wiele mówiąc, uciułało się trochę gotowego grosiwa.

— Gotowego grosiwa — powtórzyli wszyscy zdziwieni.

I jedna świekra na całą piędź rozdziawiła gębę, a druga aż musiała odkaszlnąć taka ślinka nabiegła jej na język.

Wasyl Tandara uśmiechnął się z lekka i tak prawił dalej:

— Nie wyjeżdżał ci tam człek z tem nigdy, aby nie myśleli że się przechwalam. Ale co się uzbierało powoli, to mieniałem na same karbowańce.

— Na same karbowańce — wykrzyknęli znowu wszyscy naraz.

Starowina znowu się uśmiechnął i ręką sięgnął w zanadrze.

— Człek niema w domu dobrego schowku, a do tego i bał się trocha, aby go nie skorciło naruszyć uciułanej sumki. Więc wszystko nosiłem do pana i u niego składałem do schowku.

— Gwałtu, a my o tem nic nie wiedzieli — zawołała jedna świekra i oboma rękami chwyciła się za głowę.

Nie zważając na to stary Wasyl, prawił dalej.

— Do tego czasu leżały pieniądze u pana, ale coś mówią, że pan wybiera się na cały rok za granicę, a daleka droga to rzecz niebezpieczna. Od przypadku nikt nie wolny! Więc też dzisiaj poszedłem do pana i odebrałem wszystko.

To mówiąc dobył Wasyl z zanadrza spory worek obwiązany sznurkiem i zapieczętowany u góry.

Każdy wyciągnął rękę aby choć pomacać skarb pożądany, a jedna świekra aż nosem wryła się w worek i węchem radaby wciągnąć w siebie złoto.

W worku brzęczały ślicznie i ponętnie pieniądze, a kto sięgnął palcami, to na prawdę namacał same karbowańce.

Rzeknie też po chwili Wasyl:

— Podzieliłem grunt, dobytek i całe gospodarstwo pomiędzy dzieci, ale pieniądze schowam aż do śmierci i dopiero umierając rozdzielę ich według tego, jak kto sobie najlepiej zasłuży.

— Tymczasem — prosił zwracając się do wójta — niech ten cały worek leży w schowku u gromady, a jak Pan Bóg zeszle śmierć na człowieka, to już rozporządzę jak obdzielić dzieci.

I jak chciał, tak się stało w samej rzeczy. Wójt i przysiężny wzięli pieniądze pod schowek gromady, a dopiero w ostatniej chwili miał oznaczyć stary, co z niemi zrobić po śmierci.

Aliści trzeba było teraz widzieć, jak się odtąd zmieniło wszystko w życiu starego. Wróciło dawne zachowanie w gromadzie, powiększyła się cześć u krewnych i znajomych, odżywiła miłość u dzieci.

Same świekry nie mogły sobie dać rady, aby we wszystkiem dogodzić staremu i przypodobać mu się wedle możności. Ptasiego mleka brakowało mu tylko od tej chwili, tak mu wszyscy nadskakiwali, pochlebiali, dogadzali i każdy spodziewał się w duchu, że stary nie zapomni o nim, kiedy będzie rozporządzać swym skarbem.

Sześć lat przeminęło w tym stanie, aż też nagle rozniemógł się śmiertelnie Wasyl Tandara. Toż dopiero uwijali się wszyscy koło niego, nie odstępowali go ani we dnie ani w nocy i pielęgnowali jak można tylko najtroskliwiej.

Ale niestety choroba to już była śmiertelna. Stary posłał po księdza, a zaledwie otrzymał rozgrzeszenie i przyjął ciało i krew pańską, zamknął powieki. Przy spowiedzi miał jednak powiedzieć księdzu, co począć ze skarbem pozostałym. Nie wiedzieć dla czego ksiądz na razie trzymał wszystko w tajemnicy i przyrzekał wyjawić całą rzecz dopiero po pogrzebie.

Zaraz też na drugi dzień po pogrzebie zeszli się wszyscy co byli wtedy, kiedy stary wydobył swój skarb z ukrycia —

wójt przyniósł ze sobą worek opieczętowany, aby go oddać temu, komu umierający przykazał.

W tem też pojawił się ksiądz proboszcz.

— Moi mili — rzekł poważnie i uroczyście — stary Wasyl umierając, kazał wam podziękować za wszystko dobre, coście mu wyrządzili na schyłku żywota. Odsłodziliście i ulżyli mu ostatnie ciężkie zazwyczaj chwile i Bóg wam to pewnie nagrodzi stokrotnie. Temci pewniej, żeście to wszystko robili nie z żadnej rachuby nieczystej, ale tylko ze szczerego serca.

— O juźci, juźci księże proboszczu — wołali wszyscy razem — któżby tam myślał o rachubach, uchowaj Boże!

— Dobrze moi mili — rzekł ksiądz dalej — wiecie bowiem, że żaden dobry uczynek nie ma u Boga znaczenia, jeżeli nie wypłynął z szczerości i uczciwości serca a pobożności ducha, ale z rachuby, chciwości i innych pobudek nieczystych.

— Albożeśmy to nie chrześcijanie, abyśmy tego nie wiedzieli — odpowiedzieli razem z niskim ukłonem.

A ksiądz na to znowu.

— Podziękujcież Bogu, że Wasyl Tandara nie pozostawił po sobie żadnego majątku, bo inaczej ciężyłoby na was podejrzenie, któreby wam odjęło wszelką zasługę.

— Jakto — Wasyl nie zostawił żadnego majątku? — odezwała się jedna świekra nie mogąc się powstrzymać dłużej.

Zamiast odpowiedzi, ksiądz wziął od wójta worek, rozwiązał sznurek, zerwał pieczęć i ze środka posypało się mnóstwo jakichś okrągłych blaszek. Były to dawne znaczki od pańszczyzny, które niegdyś rozdzielał ekonom za każdy dzień odrobiony.

— Podziękujcie Bogu — zawołał ksiądz uroczyście — że to prosta blacha bez wartości a nie złoto, bo pozostają wam wasze dobre uczynki, które więcej znaczą dla duszy i wyżej stoją u Pana Boga, niż wszystkie złoto świata.

I długo jeszcze przemawiał ksiądz tak mądrze a łaskawie, że się aż wszyscy rozrzewnili, a szczególniej dzieci zmarłego zalane łzami biły się w piersi i z głębi serca dziękowały Bogu, że za cześć i miłość dla starego ojca nie spadła na nich ziemska zapłata, ale pozostała im nadzieja lepszej i trwalszej nagrody.

Wójt i przysiężni dorozumieli się jednak zaraz, że to pan z umysłu dał Wasylowi ten worek ze znaczkami, aby tym sposobem zaradzić niedoli i utrapieniu starego.

Czy pożyteczną jest rzeczą siać gęsto?

Rozmowa pana ze starym Łukaszem gospodarzem.

„Gdzie nie chrośnie, tam nie rośnie;“ mawiał stary Łuka, i dla tego zawsze siewał gęsto. Razu pewnego, gdy siał groch, a raczej rozrzucał, jak zaganiacze wieprzom, nadszedł dziedzic wioski, a pochwaliwszy Pana Boga, zaczął łajać starego gospodarza, że tak ziarno marnuje.

Łuk. A przepraszam wielmożnego pana, im więcej się zasieje, tem się więcej sprzątnie.

Pan. Prawda, prawda, Łukaszu! im się więcej obsieje pola, to się więcej sprząta; ale to nie prawda, że im się gęściej sieje, tem się więcej sprząta.

Łuk. Przecie każde ziarnko wyda plon, a im więcej ziarnek, to więcej plonu, mawiał mój nieboszczyk wuj, który mnie wychował; bo gdzie nie chrośnie, to i nie rośnie.

Pan. Ale mój miły gospodarzu, to wtedy tylko prawda, kiedy się zasieje, jak się należy: a siać gęsto, to się nie należy. Inni gospodarze, co tyle wysiewają ile wy, więcej zawsze od was sprzątają, i czemu to?

Łuk. Bo mają lepsze grunta.

Pan. Nie lepsze! z naszej wsi wszyscy mamy jednakowe grunta; ta tylko różnica, że nie wszyscy jednakowo je uprawiamy i obsiewamy. Inni gospodarze nie sieją za gęsto, tylko wraz, dla tego lepsze miewają urodzaje.

Łuk. Ha! jużci darmo; jak Bóg da, tak trzeba przyjąć. Niech będzie Imie Boskie błogosławione!

Pan. Tak, niech będzie Imie Boskie błogosławione teraz i na wieki wieków; aleć, gdy źle zasiejemy, nie mamy prawa żądać od Pana Boga, aby nam złą robotę błogosławił. Jak sobie kto pościele, tak się wyspi!

Łuk. (poskrobał się w głowę). Hm, hm, to na mój głupi rozum za wiele. Mnie się to w głowie pomieścić nie może, czemu, gdy ja gęsto sieję, nie ma mi się udać zboże?

Pan. Bardzo rzecz prosta; gdy się za gęsto zasieje, chociaż ziarno zejdzie, nie może się utrzymać, bo nie ma i miejsca i dostatkiem pokarmu w ziemi; jedno niszczy drugie. Na przykład: was codziennie do miski zasiada sześcioro, i wasza kobieta na sześcioro gotuje i najecie się wszyscy.

Łuk. Co to, to prawda, wielmożny panie!

Pan. A gdyby niespodzianie gdy siadacie do jadła, nadeszło jeszcze drugie sześcioro i zasiadło i wzięło się do łyżek — czyby się wszyscy najedli?

Łuk. A gdzie tam.

Pan. Otóż widzicie, miły gospodarzu, tak się samo ma i ze zbożem. Ziemia wyżywi tyle ile może; lecz gdy za wiele roślin na jednem miejscu, żadnej nie wyżywi jak się należy, wszystkie słabe, a gdy susza nastanie, nie rozwinąwszy kwiecia, całkiem marnieją.

Łuk. Nibyć to pan mówi nie źle. Zestarzałem się, alem się nad tem, Bóg świadkiem, nigdy nie zastanowił. Com widział i słyszał u wuja, takem robił i mówił. Niech to nie będzie z urazą wielmożnego pana; jak widzę, to teraz jaje mędrsze od kury. Ja już szósty krzyżyk kończę, a pan ledwo w połowie trzeciego, a jednakowo młody pouczył starego.

Pan. Mój kochany Łukaszu, powinniśmy się wszyscy nawzajem pouczać; wszakżeśmy bracia jednej ziemi polskiej, jednej wiary katolickiej synowie, a Pan Jezus napomina: „*Kochaj bliźniego twego, jako siebie samego,*“ a kochanie trzeba w uczynku okazać. Nie siejcie więc tak gęsto, a spomniecie moje słowo przy sprzęcie, żem wam dobrze radził. — Usłuchał Łukasz pana, i resztę grochu siał daleko rzedziej. We żniwa z gęsto zasianego nie miał i furki, a z rzadziej, dwie i doskonale nałożone.

z *Sz. N.*

RADA

jako matki powinne baczyć na swoje dzieci.

Żalą ci się nasze matki po wsiach, że im się dzieci nie darzą. Mój ty mocny Boże! i jakże im się mają darzyć, kiedy są takie nieuważne, takie mało dbające o swoje maleństwo: porzuci to byle gdzie, nie nakarmi w swój czas, nie obmyje, nie uczesze — słowem, niby to kocha, a w rzeczy mało co dba o nie. Toż przecie kwoczka, choć to jeno ptak bez duszy, a patrzaj jaka ona dbała o swoje kurczątka, że ich na krok nie odstąpi i prędzej każdemu oczy by wydrapała, a nie dałaby dziecku swemu choćby najmniejszej krzywdy uczynić. Tak i wszystkie inne stworzenia, od najdrobniejszego ptaszka do najsroższego zwierza, wielką miłość a zatem i dbałość ukazują względem swoich dzieci. I nie wstyd-że to naszym matkom, żebyć się dopiero od kwoczki miały uczyć, jak miłować dzieci i wedle nich chodzić?... A przecie tak jest, bo i patrzcie i bierzcie sobie to za naukę:

Nie potrzeba wam gadać, jak to się kwoczka sroży i uderza na każdego w obronie swoich kurcząt. — Tymczasem zdarzyło się już nieraz, że gdzieć świnia pożarła dziecko w kolebce, albo kotka wydrapała oczka niebożątku. Niedobra matka, gdzież ona była wtedy? ano w ogrodzie plewła, albo gdzieś za trawą chodziła w pole, lub przy jakiej robocie krzątała się, a dziecko bez dozoru porzuciła w chałupie. Bywają też i inne przypadki z tego niedozoru: niedorosłe dzieci same zostawione w chałupie, często bawiąc się ogniem poparzą się, albo też i na śmierć się spalą i całe obejście puszczą z dymem. A całemu nieszczęściu matka była winna, co ich odstąpiła. — Wiemci ja że człek biedny musi pracować na kawałek chleba, a nie tylko siedzieć przy dzieciach jak ta kwoczka — toż przeciw twojej robocie nie mam nic; idź matko kędy cię praca woła, ale i o dzieciach też nie zapominaj!... Przecie między sąsiadami znalazłaby się jedna i druga kobieta sędziwa, coby jej można zawsze wszystkie dzieci oddać pod dozór, wtedy kiedy ich matki i ojcowie przy

innej są robocie. Jest zwyczaj po wielu wsiach i miasteczkach, utrzymywać pastucha gromadzkiego, dla czegożby się nie miała gromada zdobyć i na taką niańkę, coby jej wszystkie dzieci dozorowała? Nie wiele by to kosztowało, a pożytku byłoby wiele.

Pilna kwoczka przyucza dzieci swoje do czystości — od niej to uczą się one skubać i prostować swoje piórka do słonka, wytrzepywać z nich kurz i brud wszelaki, aby były zdrowe i wesołe. — Tymczasem po naszych wioskach dzieciaki biegają jak te straszydła, co je wystawiają na wróble, takie to czarne, murdzate, powalane, jakoby właśnie z komina wylazły. A czyja w tem wina? jużcić że matek, co takie niedbałe o swoje dzieci, że je ani obmyją, ani uczeszą, ani też jak przynależy nie ogarną co dnia. Im się zdaje że to nic zdrowiu nie szkodzi — oj matki, matki! a przecie to drzewo zgnije i zbutwieje w błocie się walające — samo nawet żelazo choć jakie twarde, a rdza go pożre, jeśli go się nie będzie czysto utrzymywać. I dziwże się teraz, że ci dziecko chyrla i do zdrowia przyjść nie może, skoro nie chcesz dbać o jego porządek.

Pilna kwoczka, gdy widzi w pobliżu jaką wodę albo kałużę, gdzieby się jej kurczęta mogły potopić, nie pozwala im się tam zbliżać; a jeśli się które w tamtą stronę zapędzi, to zaraz to uważa i odwołuje go do siebie. — Tymczasem po wsiach dzieciaki włóczą się samopas wszędy, gdzie się im żywnie spodoba, a matki na to nic, owszem jeszcze kontente są, że im nie zawadzają w chałupie i nie wrzeszczą nad uszyma. Owóż we wsi nie trudno o kałużę, jest też i studnia jedna i druga i stawek jaki taki i rzeka lub przynajmniej potok płynie. To też zaraz i gotowe nieszczęście! nie dużej potrzeba wody aby się dziecko utopiło. Pilnuj-że matko jak ona kwoczka i nie wypuszczaj z oka małych dzieci, iżbyś potem nie potrzebowała narzekać, żeć się dzieci nie darzą. A masz kałużę gdzieś nieopodal twego obejścia, to ją obgródź do koła — gromady zaś budujące studnie, niechaj baczą na to, aby zrąb był przynajmniej na łokieć wysoki od ziemi. Wydatek nie zbyt wielki, a będzie dla wszystkich bezpieczniej.

Nakoniec nie myślcie sobie, iżby kwoczka kazała kurczątkom jeść wszystko co znajdą, bo nie prawda! dobrze ona ich uczy co dla nich zdrowe, a coby im mogło zaszkodzić. — Tymczasem matki nasze mało na to zważają; a znowu dziecko, że to nierozumne i bardzo łakome na jedzenie, więc byle czego się dorwie i bucha w siebie bez upamiętania, gdy mu nie zabronią. A tu, jak na to po ogrodach i sadach, pełno owocu niejźrałego: więc agrest, pożyczki, wiśnie, jabłka, gruszki — co ono tam zna że to trucizna zielony owoc, patrzy jeno jakby się dostać do niego i zerwać. Z tego potem różne a różne powstają choroby, jako to: biegunka krwawa, zapalenie żołądka lub kiszek, albo odurzenie z zapaleniem mózgu połączone; a wszystkie te choroby śmiertelne są i rzadko które dziecko z nich wyzdrowieje. A toż matki nasze, dawajcie i na to pozór, aby się dzieci nie wałęsały po ogrodach i sadach gdy ich nikt nie widzi, bo raz, że robią wam niepotrzebnie szkodę, a potem, że i sobie bardzo tem szkodzą.

Skoroż pójdziecie za tą naszą radą, to zobaczycie, że wam się będą i dzieci darzyć przy błogosławieństwie Boskiem i będzie pociecha na waszą starość.

RÓŻNOŚCI.

Roztropny chłopek. Jednego razu skradziono gospodarzowi najlepszego konia — co się nieboraczysko naszukał, nalabiedził... przepadło jak kamień w wodę rzucił. Tedy rad nie rad musiał iść do miasteczka, gdzie miał być targ na konie, aby sobie drugiego dokupić. Przyszedłszy na targowisko, zaczął przepatrywać między końmi, którybv mu się najlepiej nadał. Jakiś czas łaził tędy i owędy, nie jednej już szkapie zaglądnął w zęby, popróbował ogona, ale do targu nie przyszło, bo mu się żadna nie spodobała. Aż ci tu naraz patrzy: — Chryste Panie! ta dalibóg że moja szkapa! zawołał uradowany i pochwycił konia za uzdeczkę. Żyd co go wyprowadził na sprzedarz, jął wrzeszczeć w niebogłosy i zwoływać ludzi na świadków: że to rozbój. — Puszczaj ty chłopie, ty złodziej! krzyczał i szarpał gospodarza za rękę — czyś ty owarjował! to mój koń a nie żaden kradziony; ja mam świadków na to, że go jeszcze na łońskim jarmarku kupiłem.

— Łżesz żydzie! woła chłop — jużci ja swoją szkapę znam; to moja!

— Ny, jaki z was głupi gospodarz! prawi żyd — powiadacie że to wasza szkapa, a to nie prawda. Może ona i podobna do waszego konia, widzisz go! albo to jeden koń nie może być podobny do drugiego?...

Gdy to mówił żyd, chłopek naraz zakrył oba oczy koniowi i rzeknie:

— No, kiedy ty tak dawno masz tego konia u siebie, to powiedz że mi, na które on oko jest ślepy?

Żyd co był prawdziwym złodziejem i nie miał czasu dobrze konia obejrzeć, zmieszał się na to zagadnięcie, lecz miną nadrabiając, rzekł na los szczęścia: że koń na lewe oko nie widzi.

— Aha, zawołał kmieć, pokazując lewe oko konia — widzisz że kłamiesz, bo koń dobrze patrzy na to oko.

— Nu! podchwycił żyd, co to znaczy? ja się omyliłem, chciałem powiedzieć że on na prawe oko jest ślepy — przecie dobrze znam mego konia.

Wtedy dopiero chłopek odkrył i drugie oko konia i biorąc ludzi na świadków, rzeknie:

— Patrzajcie gospodarze, oto jest dowód że żyd jest kłamca i złodziej, bo koń na oba oczy dobrze widzi. Naumyślnie zadałem mu pytanie, aby łatwiej sam się wydał że konia ukradł.

Wszyscy przytomni śmiać się zaczęli z tego figla i chwalić roztropnego chłopka; poczem zaprowadzili żyda do władzy, która go uwięzić kazała. Konia zwrócono właścicielowi — złodziej pomaszerował do kryminału.

Tak to, prawda jak oliwa zawsze wyjdzie na wierzch; a fałsz i kłamstwo, tak jak szydło w worku, nigdy się długo nie utai. —

Gradowa burza. W *Lutowiskach* w Sanockiem przed trzema tygodniami, jak powiadają, spadł taki grad nawalny, że jeszcze nazajutrz leżał wielkiemi kupami. Najstarsi ludzie nie pamiętają tak ogromnego gradu. Ulewa trwała przez całą godzinę, do tego biły pioruny i strasznie się łyskało. — A toć skaranie Boże czy co takiego na te Lutowiska, że takie tam częste powstają burze! Przypomnijcie sobie, że jeszcze tamtego roku jakoś w jesieni donosiliśmy wam o srogiej burzy, co siła nabroiła w Lutowiskach. Trzebaż nieszczęścia, żeby z wiosną druga ich taka burza nawiedziła. Boże zmiłuj się!...

Cudowna władza modlitwy. Ot i nie dawno temu w jednem mieście zakradł się był złodziej — niecnota z wieczora do kamienicy. Zaraz na dole była kuchnia, drzwi stały otworem, a kucharka gdzieś była na chwilkę wybiegła. Hultaiszcze nie widząc nikogo, począł sobie tam na piękne gospodarować. Więc do skrzynki gdzie były rzeczy kucharki, powybierał do czysta, związał pięknie w tłumoczek, i jużci miał dać drapaka — aż tu naraz słyszy że ktoś idzie. Tedy duchem włazi pod łóżko i tłumoczek też wsunął za sobą. Tymczasem kucharka nadchodzi, zaświeciła świeczkę, usiadła sobie na łóżku

i poczęła się z książki pilnie modlić, jak to zwykła robić co wieczór przed spaniem. Jeszcze w końcu odśpiewała na głos: „*Kto się w opiekę podda Panu swemu*“ i już potem zagasiła świecę i spokojnie układła się na spoczynek. — A złodziej pod łóżkiem siedzący samci już nie wiedział, co się z nim stało dziwnego. Jakiś żal go na wskróś przejął że prawie co nie zapłakał i po raz pierwszy wstydno mu się zrobiło przed złodziejstwem. Kucharka spała sobie w najlepsze, i nie wiedziała, że tą wieczorną modlitwą siebie obroniła i duszę jednego grzesznika nawróciła do Boga. A iście tak było; złodziej cichaczem wysunął się z pod łóżka, ale już bez zawiniątka i nie zrobiwszy jej najmniejszej szkody, poszedł precz. Dopieróż nazajutrz kucharka wstaje i zrazu jeszcze nic nie zmiarkowała. Aż tu wypadło jej pójść do miasta za sprawunkami; trza się było w jakąś chuścinę ogarnąć, więc do skrzyni a skrzynka do czysta wybrana. Już miała hałasu narobić, gdy wtem przypadkowo zajrzała pod łóżko i widzi tam zawiniątko leżące. Wyciąga, patrzy: są wszystkie rzeczy co do jednego. Zazaz uklękła i podziękowała Panu Bogu — aliści potem w głowę zachodzi, coby to miało znaczyć i ktoby jej mógł takiego figla wypłatać?... I nie wiedziała długo, jak ma sobie to wytłómaczyć. Dopiero książka do nabożeństwa, leżąca wedle łóżka na stoliku powiedziała jej prawdę. Była ona otwartą właśnie w tem miejscu, gdzie stała modlitwa: „*Kto się w opiekę podda Panu swemu.*“ — To onej modlitwy cudowna władza obroniła mię od szkody — pomyślała wtedy kucharka i szczerej prawdy dociekła. —

Rady dla gospodarzy.

Przysłowie niesie: jaki pan i słudzy tacy;
Gospodarz ma dać przykład do cnoty i pracy.

Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna;
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

Przewiduj, zapobiegaj, byś straty nie miewał;
Głupi mówi po szkodzie: jam się nie spodziewał.

Nie polegaj ze wszystkiem na innych posłudze;
Ile można sam dojrzyj, ślepe oczy cudze.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**